

ANTTI TUOMAINEN

CZARNE JAK MOJE SERCE

FENOMENALNY KRYMINAŁ KRÓLA GATUNKU **HELSINKI NOIR**

Początek

Poznała mężczyznę, a teraz usta zalewała jej krew. Te dwie sprawy jakoś się łączyły, a jednocześnie nie miały ze sobą związku.

Co takiego zrobiła źle?

Jej zdaniem – nic.

A jednak...

Wybito jej szczękę, dwa złamane palce lewej dłoni – mały i serdeczny – sprawiały, że nieomal wyła z bólu, a najgorsze było dopiero przed nią.

To niesamowite, jak szybko pędziły jej myśli, na co trafiały, co oglądały i pamiętały.

Przez ostatni rok jej życie całkowicie się zmieniło. No, może całkowicie to przesada. Całkowicie życie zmieniło się trzynaście lat temu, kiedy urodziła syna. Ale w ciągu ostatniego roku otworzyło się przed nią, jakby ktoś wygładził zmięty papier, jakby burza ucichła, a zza horyzontu wyszło schowane przez wiele lat słońce.

Słyszała, że nie trzeba się bać najgorszego: albo umrzesz od razu, albo wpadniesz w potworną panikę, doznasz szoku i nawet nie zauważysz, że umierasz. To oczywiście nie była prawda. Myślała jaśniej niż kiedykolwiek.

Widziała, jakie wszystko jest piękne, wszystko, co zostawało po drugiej stronie długiego, błyszczącego noża. Jej syn. Jej życie. W tej kolejności.

Myśli rzęsiście oświetlały wnętrze samochodu, ciasne, duszne pomieszczenie, w którym sztuczna zieleń deski rozdzielczej migotała, jakby to było wnętrze łodzi podwodnej, która zeszła kilometr pod powierzchnię wody. Myśli nie zabawiły długo w środku. Oświetlały także gnijące paździenikowe popołudnie, szarą, grubą zasłonę deszczu, która przypominała mgłę, tylko bardziej wodnistą i lodowato zimną. Myśli przeleciały przez trzydzieści dwa lata jej życia i teraz wiedziała, co miało znaczenie, a co nie.

Gdyby miała czas, może by się nawet zaśmiała. Gdyby miała czas, pomyślałaby – jako osoba pragmatyczna i optymistyczna – że mogłoby być gorzej. Mogłaby przeć przez życie, nie rozumiejąc jego piękna, nie widząc ludzi przed sobą i wokół siebie. Nawet teraz mogłaby być zajęta jakimiś drugorzędnymi sprawami.

Zamiast tego rękami broniła się przed nożem.

Długi nóż znów przekłuł jej skórę. Jej drobną, wąską dłoń. Szerokie, zimne ostrze. Rozpłatało rękę od kłykci do nadgarstka.

Znów wytłumaczyła sobie, że to przez to, że poznała mężczyznę, że się z nim spotykała.

Mówiła to sobie wiele razy. Prawda ją porażała. Poznała mężczyznę, odpychała ciosy rękami. Między tymi dwiema sprawami chyba nie mogło być już większej różnicy. A jednak ta pierwsza prowadziła do drugiej. Przypomniała sobie amerykański film, w którym stary policjant próbuje streścić młodszemu koledze sens życia. Każdemu może się przytrafić wszystko, powiedział.

Najwyraźniej.

A jednak.

Znów pomyślała o synu. Nagle było tyle spraw, o których koniecznie trzeba porozmawiać. I natychmiast zaczęły się pchać na siebie, zadeptywać, popychać, tratować pod naporem nowych, silniejszych.

Jej syn. Przynajmniej on powinien wiedzieć...

Jak bardzo go kochała...

To wymagało poświęcenia.

Musiała sięgnąć ręką daleko. A to oznaczało, że jej klatka piersiowa i brzuch były narażone na ciosy miotanego wściekłego noża.

Pochyliła się do przodu, na ile pozwalał na to pas bezpieczeństwa. To chyba ironia losu, że nazwano to pasem bezpieczeństwa.

Złapała za coś, wbiła w to paznokcie. Drapała kark, zatapiała paznokcie tak głęboko, na ile starczyło jej sił. Była pewna, że końcami paznokci przebijała skórę, była pewna, że pod palcami wyczuwa krew i mięso.

Nic nie ma jednak za darmo. Odsłoniła brzuch. Nóż trafił w klatkę piersiową.

Siły ją opuściły. Nie czuła już rąk. Po chwili dotarło do niej, że trzyma się za brzuch, i zobaczyła, że pod paznokciami, przynajmniej pod tymi, które się nie złamały, i tymi na złamanych wcześniej palcach, jest mnóstwo skóry i krwi, która ma inny kolor niż jej własna.

To było coś.

Miotanie nożem ustało.

Samochód się poruszał.

Uświadomiła sobie, że nie wstrzymuje oddechu. Ponieważ w ogóle nie była w stanie oddychać.

Chciała wydostać się z samochodu. Myślała – jasno i logicznie – że musi uciec, wymknąć się.

W tym samym momencie poczuła, że leci, unosi się w stronę ciepłego, przyjaznego słońca.

Jej życzenie się spełniało.

Leciała do syna.

Wrzesień 2013

W innym miejscu, o innym czasie już bym się zdecydował.

Znałem swoje miejsce.

Jej błyszczące czarne włosy, ściągnięte w gruby węzeł, spływały na ramiona i okrywały plecy, krótka grzywka odsłaniała ostro zarysowane brwi. Na tle bladej, niemal białej skóry włosy przypominały krucze pióra rozsypane na czystej zaspie. Ta sama nieprzenikniona czerń osnuwała jej długie, spokojne rzęsy. Oprawione w nie szaroniebieskie oczy miały uporczywe spojrzenie.

Stanowiła mieszaninę spokoju, wyniosłości i czegoś, czego przynajmniej na razie, przy pierwszym spotkaniu, nie mogłem uchwycić. Żeby zgłębić ten temat, musiałbym przede wszystkim podnieść się z ciemnobrązowego skórzanego fotela i obejść owalny, orzechowy, antyczny stół. Następnie musiałbym usiąść obok drobnej kobiety na miękkiej jasnożółtej kanapie. Z wielu powodów nie zamierzałem tego robić.

Przedem wszystkim przeszkadzało mi to, kim była moja towarzyszka. Nazywała się Amanda Saarinen. Właśnie odstawiła kieliszek wina na stolik. Na krawędzi szkła po-

został pasek ciemnoczerwonej szminki wielkości małego palca.

– Więc jesteś nowym dozorcą.

Trzy górne guziki przy jej bluzce z szerokim kołnierzem były rozpięte. Już wcześniej zauważyłem, że ta szczupła kobieta inwestowała w chirurgię plastyczną. Ostateczny rezultat przypominał pseudoantyczne meble, na których siedzieliśmy. Kompozycja kwiatowa na stole naśladowała rozciągający się na tapecie za plecami Amandy pomarańczowo-żółty wzór z kwiatów i herbów. Wyglądało to, jakby kobieta siedziała w obrazie.

– Nie wyglądasz mi na dozorcę – powiedziała, wyciągając do mnie rękę ponad stołem. – Zapomniałam się przedstawić. Amanda Saarinen.

– Aleksis Kivi. Nic się nie stało – odpowiedziałem, ucisnąłem jej dłoń i z powrotem usadowiłem się w fotelu. – Domyślałem się, że to ty jesteś Amandą. Pracuję tu dopiero od tygodnia. Może jeszcze upodobnię się do dozorczy.

Prawie się uśmiechnęła. Była ode mnie dwa lata młodsza, miała trzydzieści jeden lat. Znów sięgnęła po kieliszek. Było wpół do dwunastej, przed południem.

– Dozorcy to niskie, krępe ciamajdy koło pięćdziesiątki. Noszą bojówki, przy pasku dzwoni im tysiąc kluczy, multitoole i taka specjalna wodoodporna komórka. Za paznokciami mają żałobę. Nie słuchają, kiedy się do nich mówi, a ty, zdaje się, że mnie słuchasz. Mylę się?

– Tak, słucham cię.

– I masz czyste paznokcie. To nie w stylu dozorczy. – Amanda upiła z kieliszka. – Naprawdę chcesz tu pracować?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dla odmiany.

Spojrzała na mnie niebieskoszarymi oczami.

– Z całą pewnością. Jakiej odmiany?

– No, na przykład remontów mieszkań. Z zawodu jestem stolarzem, dziesięć lat doświadczenia. Głównie remonty mieszkań. Coś, na czym można się w spokoju skupić i porządnie wykonać.

To ostatnie było prawdą. Może nie całą, ale prawie.

– Też chciałabym znaleźć coś, co miałabym ochotę robić.

– Myślę, że i na to przyjdzie pora.

– A ja mam wrażenie, że ten czas już minął.

Nic nie odpowiedziałem.

– A co poza tym? – zapytała Amanda – Oprócz bycia stolarzem?

– Nic specjalnego. Półtora roku prowadziłem antykwariat w centrum Helsinek. Ale interes się nie kręcił. Sprzedawałem książki za tanio, bo chciałem, żeby ludzie je czytali.

– Ciekawe – skomentowała Amanda, ale nie zabrzmiało to nawet odrobinę szczerze. Popiła wina. Na dnie kieliszka kręciła się już tylko mała perełka. – Co ci mówiono o tym miejscu?

– Jest ważne dla rodziny, przyjeżdżacie tu raczej w celach rekreacyjnych, niż żeby pomieszkać.

– Chyba można to tak określić. Nie mówiono ci, że tak naprawdę mieszka tu trzydziestoletnia kobieta, która nie ma już żadnych przyjaciół?

Spojrzałem na nią.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Trudno ci uwierzyć, że ktoś tu się ukrywa, czy że nie ma w ogóle przyjaciół?

– Jedno i drugie, ale przecież to nie moja sprawa.

– Raczej nie – przyznała cicho Amanda.

Siedzieliśmy naprzeciwko dwuskrzydłowych przeszkle-

nych drzwi. Biel framug jeszcze lśniła po ostatnim malowaniu. Za oknami panował jasny, bezchmurny dzień, jak to na początku września. W rześmistym świetle liście dębu i klonu mieniły się na żółto, złoto i ciemnoczerwono. Za drzewami rozciągało się aż po horyzont migoczące morze. Nad tym wszystkim wisiało ciemnokobaltowe niebo. Trudno było sobie wyobrazić, że za tym jasnym i czystym bezmiarem kryje się ciemny i zimny kosmos. A jednak tam był. Na pewno.

Amanda najwyraźniej zapomniała o mojej obecności. Jej wzrok zatonął w podwórzu lub morzu. Znów przypomniała mi się Miia. Pomyślałem, ile dobrego w moim życiu zdarzyło się dzięki niej i jak musiałem to wszystko porzucić, żeby dostać się tutaj i zrobić to, co miałem do zrobienia.

Rozejrzałem się. Ten pokój nazywano salą. Dobra nazwa dla pomieszczenia o powierzchni, na oko, siedemdziesięciu metrów kwadratowych, największego we dworze. Przygaszona żółta tapeta kończyła się na wysokości pasa, dół ścian wyłożono szarą boazerią. Z sufitu zwisały dwa identyczne kryształowe żyrandole. W ciągu pierwszego tygodnia mojej bytności nie zapalono ich ani razu.

Właściwie nie przebywałem tutaj. Miałem własny mały pokój z kuchnią na końcu budynku gospodarczego.

– Poznałeś go już? – spytała nagle Amanda.

– Kogo?

– Ojca, oczywiście.

Oczywiście.

– Nie.

Oczy Amandy rozbłysły.

– A Markusa?

– Chodzi ci o Markusa...

– Tak, o Markusa Harmalę, kierowcę taty.

– Nie. Skąd miałby się tu wziąć, skoro sam Henrik jeszcze tu nie był?

Nic nie wskazywało na to, żeby Amanda zamierzała odpowiedzieć na moje pytanie. Patrzyła mi prosto w oczy.

– Przez ile rozmów kwalifikacyjnych musiałeś przejść? – spytała.

– Przez trzy.

– Wliczając w to te śmieszne testy psychologiczne?

– Wcale nie były takie śmieszne. I jeżeli je doliczyć, to cztery.

– Tata chce mieć chyba stuprocentową pewność – powiedziała Amanda bez przekonania. Wzięła do ręki pusty kieliszek, przyjrzała mu się, po czym podniosła wzrok.

– Co robiłeś, kiedy cię tutaj wezwałam?

– Zamierzałem zejść na dół, żeby sprawdzić zużycie wody i takie tam, ostatnio zainstalowano nowy..

– Ach tak. Powinieneś wracać do pracy. Oczywiście. Ja i tak muszę jechać. Samochód zostawiłam przed wejściem, prawda?

– Tak – odparłem. – Jeżeli ten czarny range rover należy do ciebie. Stoi przed drzwiami.

Amanda czytała mi w myślach.

– Jeden kieliszek wina – powiedziała z uśmiechem. – Mogę prowadzić.

Nie zamierzałem się z nią spierać. Wstała i włożyła płaszcz, ja też sięgnąłem po kurtkę. Odprowadziłem ją do wyjścia. Wiatr rozwiewał włosy i chłodził rozgrzane ciało. Amanda szła pewnym krokiem. Gdzieś nieopodal śpiewał ostatni tego roku kos. Dotarliśmy do auta.

– Chciałam cię poznać – oznajmiła. – Mnie nie jest wszystko jedno, kto zajmuje się utrzymaniem dworu. Z wielu powodów.

– Rozumiem.

Dzielił nas mniej niż metr. Z bliska oczy Amandy wydawały się błyszczące i twarde. Wiatr owiewał jej twarz czarną falą. Przy sprzyjających podmuchach czułem w powietrzu zapach alkoholu.

– Do zobaczenia – rzuciła, wślizgując się do samochodu.

Koła terenówki zostawiły w żwirze ciemnobrązowe ślady. Range rover zniknął w alejce wysadzonej brzoza, a ja odetchnąłem rześkim wrześnieowym powietrzem. Dosłownie odetchnąłem z ulgą.

Nie to miejsce, nie ten czas.

Może kiedy indziej.

W każdym razie nie teraz.

□ □ □

Policja zadzwoniła do drzwi, kiedy siedząc przed telewizorem, właśnie skończyłem jeść batonik muesli. Odbiornik był włączony, chociaż nic nie oglądałem.

Dwaj mężczyźni przedstawili się, powiedzieli, że są z dochodzeniówki, i zapytali, czy mogą wejść do środka. Nic nie odpowiedziałem, miałem trzynaście lat i usta zapchane zimnym mlekiem i płatkami.

Policjanci nie czekali, aż przełknę jedzenie. Weszli do środka i skierowali się do salonu. Poprosili, żebym usiadł. Byli w garniturach z wąskimi, wyraźnie poluzowanymi krawatami. Przyglądali mi się z nosami spuszczone na kwintę. Pod oczami mieli niebieskofioletowe, zapuchnięte, ciężkie wory. Po chwili milczenia zapytali, czy mam jakichś krewnych, do których można by zadzwonić, żeby przyszli.

Mama, powiedziałem.

Ktoś inny, odparł policjant. Miał złote zęby.

Pokręciłem głową.

Tata? – zapytał drugi. Miał najwyższe i najbardziej błyszczące czoło, jakie kiedykolwiek widziałem.

Pokręciłem głową.

Ciocia? Wujek? Babcia? Dziadek?

Wciąż kręciłem głową. Byliśmy z mamą we dwójkę. Niczego nam nie brakowało.

Zadzwońię do opieki społecznej, powiedział żółtozęby do tego z wysokim czołem, wstał i wyszedł do kuchni.

Siedzieliśmy z tym z wysokim czołem w ciszy. Żółtozęby mamrotał za ścianą. Wstał i skinął na towarzysza. Ten odchrząknął, chociaż nic mu nie przeszkadzało w gardle.

Twoja mama zniknęła, powiedział.

Wcale nie, odpowiedziałem.

W ustach poczułem ostry kwaśny smak i nieprzyjemnie ciepłe mleko.

Pójdiesz z nami. Musimy porozmawiać.

Na komendzie usiadła obok mnie kobieta w niebieskim szaliku na szyi. Oprócz tego jednego szczegółu była biała od stóp do głów. Jej włosy, twarz i ubranie prezentowały różne odcienie bieli. Od czasu do czasu kładła mi rękę na ramieniu. Czułem się dziwnie. Ta ręka nie należała do mamy.

Policjanci spytali, czy mogą kontynuować przesłuchanie. Kobieta zapytała mnie, czy jestem zmęczony.

Nie byłem. Chciałam odzyskać mamę.

Wszystkie pytania dotyczyły jej.

Jakie było ostatnio jej życie?

Czy mama się z kimś spotykała?

Czy mama miała chłopaka?

Czy ktoś przypadkiem nie groził mamie?

Czy widziałem jakichś mężczyzn kręcących się wokół mamy?

Czy ich znałem?

Czy mama była szczęśliwa? Normalna? Wesoła? Smutna?

W co mama ubrała się rano? Co mama powiedziała przed wyjściem do pracy? W jaki sposób powiedziała to, co powiedziała? Czy mama kiedykolwiek mówiła o ludziach, z którymi się spotykała? A jeżeli tak, to czy zapamiętałem kogoś szczególnie?

I tak dalej.

Mijały tygodnie. Policjanci się zmieniali, pytania nie.

Mijały miesiące i chociaż pytania pozostały te same, to coraz rzadziej je zadawano. A potem pytania całkiem ustały.

Miałem trzynaście lat.

Wiedziałem, że policja nigdy nie ustali, co się stało z mamą. Nadal to wiedziałem.

Majątek Kalmela położony był dziewięćdziesiąt kilometrów na zachód od Helsinek, w miejscu, które już w 1850 roku miało swoją renomę. Cały teren liczył dwieście sześćdziesiąt hektarów, z czego połowę stanowiły tereny uprawne. Drugą połowę zajmowały lasy, część zagospodarowana. Brzeg morza należący do posesji ciągnął się na kilometr, ale tylko dziesięć procent, może sto dwadzieścia metrów na wschodnim skraju, było zaorane. Na zachód od długiego pomostu rozciągały się setki metrów kamienistego, krzewiastego terenu. W przynajmniej dwóch miejscach przecinały go niemal pionowe ściany czerwono-szarych skał.

Dwór zbudowano tam, gdzie ziemia wynosiła teren na okrągły wzgórek. Na jego szczycie pysznił się żółty budynek, który przypominał zarówno rozmiarem, jak i kolorem słońce królujące nad światem w bezchmurny dzień. Do pozostałych zabudowań zaliczały się budynek gospodarczy z garażami, domek dla gości, hangar na łódzie i sauna nad brzegiem morza.

Tereny uprawne wydzierżawiono lokalnym rolnikom. We wrześniu pola wyglądały pusto i cierniście. W zależności od przejrzystości powietrza i położenia słońca robiły się żółtożółte, brązowe lub szare jak filc. Wiosną miały tu znów wzejść żyto, owies, buraki cukrowe i ziemniaki.

Ogromny las należący do posesji nawet jesienią był ciemny i gęsty.

Główny budynek dworu odnowiono na początku tego tysiąclecia. W kolorystyce przewodziła przygaszona jasna żółć, którą ładnie podkreślały białe ramy okien i grube jak worki treningowe kolumny okalające wejście. Odnowiony piętrowy dom składał się z ośmiu pokoi i ogromnej kuchni. Na parterze znajdowały się wspólne pomieszczenia, w centrum przestronna, jasna sala, w której przyjmowano gości, również mnie. Za nią urządzono jadalnię, a dalej kryła się kuchnia. To pomieszczenie wraz ze spiżarnią zajmowało sporą część parteru.

Na dole znajdowała się także biblioteka wyposażona w dwa przepiękne angielskie skórzane fotele, barek i ciągnące się wzdłuż dwu ścian pokoju ciemne witryny. Za szkłem ustawiono mnóstwo książek, przeważnie starych.

Wszystkie sypialnie urządzono na piętrze. Największa powstała z połączenia trzech dawnych pokoików. Do niej należała także zbudowana z podobnym rozmachem łazienka. Hol na środku piętra, z dwuskrzydłowymi drzwiami na balkon, przypominał salę na parterze, chociaż nie dorównywał jej gabarytom.

Z balkonu rozpościerał się widok na morze. Widać było także wypielęgnowany, gładki trawnik: równe rzędy jałowców, stare, pogięte klony o czerwonych i żółtych liściach. Po prawej stronie stał hangar na łodzie. Obok niego, przy pomoście, cumował piętnastometrowy biały jacht. Na lewo

od przystani zbudowano z brązowych desek saunę z tarasem, a przy niej pomost kąpielowy dla amatorów szybkiego schłodzenia się.

Z balkonu można było zaobserwować i inne rzeczy. Brak sąsiadów. Jedyнным kompanem był tutaj wiatr. Gdziekolwiek się ruszyć, targał włosy, szumiał w lesie i pozostawiał słony, ostry zapach morza w każdym miejscu, nawet w budynkach. Kiedy się uspokajał, a nawet cichł, zapadała cudowna cisza.

Mieszkała tu tylko dwójka stałych pracowników: kucharka Enni Salkola i ja. Najwyraźniej istniało między nami jakieś porozumienie, koleżeństwo. Było to chyba instynktowne; niewypowiedziana świadomość, że jesteśmy tu oboje w pracy – w przeciwieństwie do innych, którzy tu mieszkają, goszczą; podział na nich i nas stawiał mnie i Enni w jednym szeregu.

Drugiego wieczoru, kiedy po całym dniu pracy na dworze na chłodnym wietrze szedłem o zmierzchu przez podwórko do swojego mieszkania, Enni krzyknęła do mnie, żebym przyszedł do kuchni na kolację. Długie kromki żytniego chleba posmarowane masłem, na nich marynowana sieja, pierwszorzędny ementaler i cierpkie jabłka z przydomowego ogródka. Byłem głodny. Rozmawialiśmy chwilę o pracy i drugie tyle o pogodzie, ale głównie jedliśmy. Cisza nas nie krępowała. Kiedy skończyłem, spojrzałem na Enni, a ona uśmiechnęła się i zapytała tylko, czy chcę dokładkę. Chciałem.

Stałem na balkonie i patrzyłem na morze. Rozciągało się przede mną niebieskie i płaskie, miało się wrażenie, że można po nim chodzić. Nagie ramiona smagał wrześnieowy wiatr. Sprawdziłem, czy naprawione przeze mnie deski w podłodze nie trzeszczą, skrzypią bądź uginają się pod stopami. Słabe miejsca wzmocniłem klinami lub spiłow-

łem i wyszlifowałem, żeby podłoga była równa. Dawało mi to satysfakcję. Nie oczekiwałem, że ktoś spędzi jesienny weekend we dworze, ale cieszył mnie ten mały sukces.

Wchodząc do środka, zamknąłem drzwi balkonowe, wziąłem skrzynkę z narzędziami do prawej ręki i zszedłem po schodach. Ruszyłem przez podwórko do schowka, odłożyłem tam narzędzia, a potem przeszedłem na drugą stronę budynku, gdzie mieszkałem.

Osobne schody prowadziły do mojego mieszkania na piętrze. Drzwi były otwarte. Nie widziałem powodu, by je zamykać. Miałem mało rzeczy i jeżeli w ogóle przedstawiały dla kogoś wartość, to tylko dla mnie. Przy drzwiach zostawiłem ciężkie obuwie robocze, zrobiłem sobie mocną kawę i dwie kanapki. Na dwóch kromkach żytniego chleba rozsmarowałem pasztet upieczony przez Enni.

Usiadłem przy oknie i patrzyłem, jak słabe, szare popołudniowe światło zwielokrotnia się w ustawionym przede mną na parapecie wazonie o chropowatej powierzchni.

Grudzień 1993 – czerwiec 2003

Wcześniej w ogóle tego nie zauważyłem.

Czułem na plecach spojrzenie pracownicy socjalnej, kiedy szedłem przez ciche mieszkanie w stronę okna w salonie.

Mieszkanie moje i mamy wystawiano na sprzedaż. Tłumaczono mi kilkakrotnie i na wiele sposobów, że nie mogę mieszkać tutaj sam. Powiedziano mi, że mam tylko trzynaście lat i potrzebuję wokół siebie troskliwych dorosłych. Nie sprzeciwiałem się. Byłem innego zdania, ale rozumiałem, że opór nie ma sensu. Wszystko, co działo się po zniknięciu mamy, było ostateczne i nieuniknione. Zupełnie jakby ciężka, mocna dłoń pociągnęła granicę między przeszłością i teraźniejszością, a jeden mały chłopiec nie mógł nic poradzić przeciw tej sile.

Pracownica socjalna poszła do kuchni. Wziąłem do ręki wazon, poczułem, jak kiedyś mama trzymała go w rękach. Może dostała go od swojej mamy, o której nie wiedziałem nic, tak jak o wielu innych rzeczach. A może mama znalazła go gdzieś i przyniosła do domu. W każdym razie dotykały go kiedyś ręce mamy. Poszedłem do swojego pokoju po koszulkę i zawiązałem w nią wazon.

Zapytałem pracownicę socjalną, czy mógłbym jedną noc przemocować w domu.

Nie, to niemożliwe.

Przez chwilę patrzyłem jej w oczy. Widziałem, że jest jej przykro. Wszystkim było. Ale to nie wróciło mamy ani nie tłumaczyło, co się z nią stało.

Poszedłem do swojego pokoju. Było to najmniejsze pomieszczenie w tym mieszkaniu, mój własny pokój. Przypomniałem sobie, jak mama powiedziała, że mam teraz coś, czego ona nigdy nie miała. Widziałem, że w jej oczach pojawiły się łzy. Czasem tak się zdarzało. Zwłaszcza kiedy opowiadała o swoim życiu, zanim się urodziłem. Powiedziała, że czuje się szczęśliwa, że może mi to dać. Myślałem wtedy, że mówi tylko o pokoju.

Otworzyłem szuflady kupionego z drugiej ręki, odrapanego biurka. Pełno w nim było różnych przedmiotów. Zabawki, rysunki, klasery, ołówki, gumki, gazety, rzeczy znalezione i przyniesione do domu. Ciężka ręka dotarła tutaj przede mną. Uświadomiłem sobie, że nie jestem już tym samym chłopcem, który rysował obrazki, czytał gazety i grał w gry. Byłem kimś innym. Poprzedni ja poszedł tam, gdzie moja mama.

W pokoju mamy usiadłem na skraju łóżka. W pomieszczeniu pachniało mamą, a każdy przedmiot wyglądał, jakby za chwilę miała go wziąć do ręki. Rzeczy były już w ruchu: zeskakiwały ze stołu, zsuwały się z wieszaków, podnosiły z podłogi. Nie wiedziałem, co robić. Myśl, że rzeczy mamy miały gdzieś zniknąć, była jak drugie zaginięcie. Jednocześnie rozumiałem, że nie mogę tego wszystkiego ze sobą zabrać. Nawet małej części.

Rozejrzałem się.

Do ozdobnego zwieńczenia czarnej ramy lustra przy-